

Jednak nie jestem sama. Nieustannie tropią mnie kamery. Wracam myślami do czasów, kiedy to ja oglądałam trybutów, głodujących, spragnionych, zakrwawionych, śmiertelnie odwodnionych. Jestem teraz na ekranach, chyba że gdzie indziej toczy się naprawdę interesująca walka.

Myszę o Prim. Raczej nie ogląda mnie na żywo, ale w szkole, w porze lunchu emitowane są najświeższe wiadomości z areny. Przez wzgląd na nią staram się nie okazywać rozpaczy.

Gdy dochodzi popołudnie, wiem, że koniec jest bliski. Nogi mi się trzęsą, serce wali stanowczo zbyt szybko. Bezustannie zapominam, co jest moim celem. Potykam się często, ale za każdym razem udaje mi się odzyskać równowagę. Kiedy jednak laska wysuwa mi się z ręki, ląduję na ziemi i nie jestem w stanie się podźwignąć. Oczy same mi się zamykają.

Nie jest źle, myślę. To miejsce wydaje się całkiem znośne.

Upał słabnie, co świadczy o zbliżającym się wieczorze. Czuję delikatną, słodką woń, która kojarzy mi się z liliami. Dotykam gładkiej ziemi, palce z łatwością ślizgają się po wierzchniej warstwie gleby.

Tutaj dobrze będzie umrzeć, decyduję.

Opuszkami palców rysuję drobne zawijasy na chłodnym, śliskim podłożu.

Uwielbiam błoto. Nie zliczę, ile razy wytropiłam zwierzyne dzięki miękkiej ziemi, w której można czytać jak w książce. Poza tym doskonale się nadaje na okład po uzadleniu przez pszczołę. Błoto. Błoto. Błoto! Raptownie otwieram oczy i zanurzam palce w miękkiej glebie. To naprawdę błoto! Głęboko wciągam powietrze. Zapach lilii! Lilie wodne!

Czołgam się przez błoto, pełzną ku zapachowi. W odległości pięciu metrów od miejsca, w którym upadłam, napotykam gęstwinę roślin. Przedzieram się przez nią i omal nie wpadam do stawu. Na jego powierzchni unoszą się białe kwiaty, moje piękne lilie.

Z najwyższym trudem powstrzymuję się od zanurzenia twarzy w wodzie i wychleptania jej jak najwięcej. Słucham jednak ostatnich podszeptów rozumu i nie nabieram wody do ust. Drżącymi dłońmi wyciągam butelkę i napełniam ją w całości. Przypominam sobie, ile należy dodać kropli jodyny, żeby oczyścić wodę, i w męczarniach czekam pół godziny, aż napój będzie gotowy. Właściwie tylko mi się wydaje, że mija pół godziny, ale z całą pewnością dłużej nie zdołam wytrzymać.

Teraz powoli, ostrożnie, powtarzam sobie. Wypijam łyk i czekam. Potem następny. Przez dwie godziny pochłaniam całe dwa litry. Po nich jeszcze dwa. Przed udaniem się na spoczynek przyrządzam kolejną porcję. Na drzewie przez cały czas popijam i zjadam królika na kolację. Pozwalam sobie nawet na jeden z cennych krakersów. Kiedy rozbrzmiewa hymn, czuję się nieporównanie lepiej. Tego wieczoru na niebie nie pojawiają się twarze, dzisiaj nie zginął żaden trybut. Jutro pozostanę tutaj, nad stawem. Odpocznę, zamaskuję plecak błotem, złowię kilka drobnych ryb, które zauważyłam w toni, wygrzebię z mułu nieco korzeni lili i przyrządzę z nich smaczny posiłek. Okrywam się śpiworem i ściskam butelkę z wodą, która uratowała mi życie.

Kilka godzin później wyrywa mnie ze snu donośny tupot. Zdezorientowana, rozglądam się dookoła. Jeszcze nie świta, ale obolałymi oczami dostrzegam zagrożenie.

Trudno byłoby nie zauważyć ściany ognia sunącej prosto na mnie.

W pierwszym odruchu usiłuję zejść z drzewa, ale jestem przyczepiona pasem do gałęzi. Nieporadnie odpinam sprzączkę i zwalam się jak kłoda na ziemię, wciąż uwięziona w śpiworze. Nie ma czasu na pakowanie. Na szczęście plecak i butelka z wodą są w śpiworze. Wpycham do środka także pas, zarzucam pakunek na ramię i uciekam.

Świat sprowadza się teraz do płomieni i dymu. Płonące konary z trzaskiem spadają z drzew i eksplodują pióropuszcami iskier u moich stóp. Nie mam wyboru, podążam za zwierzętami. Pędzę w ślad za królikami i jeleniami, dostrzegam nawet watahę dzikich psów gnających przez las. Wierzę w ich zdolność orientacji, bo mają bardziej wyostrzony instynkt. Są jednak dla mnie zbyt prędkie. Z gracją pędzą między krzewami, a ja zahaczam butami o korzenie i zwalone gałęzie. Nie mam co marzyć o dotrzymaniu kroku zwierzyńce.

Panuje upiorny skwar, lecz od upału dokuczliwszy jest dym. W każdej chwili grozi mi uduszenie. Przyciskam do nosa górę koszuli, zadowolona, że ubranie jest kompletnie mokre od potu. Korzystam z cienkiej warstwy ochronnej tkaniny, biegnę dalej. Krztuszę się, usiłuję nie zwracać uwagi na śpiwór, walący mnie w plecy, i gałęzie, które wyłaniają się z szarej, dymnej mgły i nieoczekiwanie chłostają mnie po twarzy. Wiem tylko, że muszę biec.

Katakлизmu nie wywołał nieostrożny trybut, którego ognisko wymknęło się spod kontroli. To nie jest dzieło przypadku.

Ścigają mnie płomienie nienaturalnej wysokości, jednolite, bez wątplenia zaplanowane i wzniecone przez człowieka, maszynę, organizatora. W ostatnim dniu z areny ziało nudą. Nikt nie zginął, może nawet nikt z nikim nie walczył. Widzowie w Kapitolu szybko tracą zainteresowanie, jeśli igrzyska nie będą dostatecznie pasjonujące. Do tego absolutnie nie wolno dopuścić.

Rozumowanie organizatorów jest proste. Sformowała się wataha zawodowców, która dąży do wymordowania pozostałych rywali, zapewne rozsianych po całym obszarze areny. Pożar ma nas zagonić w jedno miejsce. Mogę sobie wyobrazić bardziej subtelne sposoby nakłaniania ludzi do walki, ale temu nie sposób odmówić wyjątkowej skuteczności.

Przeskakuję nad płonąca kłodą. Sus nie jest dostatecznie wysoki. Dolna część kurtki staje w płomieniach, muszę się zatrzymać, aby zedrzeć z siebie ubranie i zdusić ogień butami. Nie zamierzam jednak zostawić częściowo zwęglonej i dymiącej odzieży. Lekceważę ryzyko i wpycham kurtkę do śpiwora, mam nadzieję, że z braku dostatecznej ilości tlenu ogień zgaśnie. Wszystko, co mam, mieści się w śpiworze. To niewiele, ale musi mi wystarczyć do przeżycia.

Po kilku minutach czuję nieznośne pieczenie w gardle i nosie. Wkrótce zacznę kaszleć bez opamiętania, mam wrażenie, że płuca mi się gotują. Paskudne uczucie przeradza się w cierpienie, a każdy oddech boleśnie rozpala wnętrze klatki piersiowej. W chwili gdy żołądek podchodzi mi do gardła, udaje mi się schronić pod występem skalnym. Wymiotuję, przepada mizerna kolacja i żalosne resztki wypitej wody. Spazmatyczne torsje trwają do czasu, gdy organizm nie ma już czego usunąć z przewodu pokarmowego.

Przez moment tkwię na czworakach, ale wiem, że muszę ruszać w dalszą drogę. Przeszywają mnie dreszcze, mam zawroty głowy, z wysiłkiem chwytam upragnione powietrze. Pozwalam sobie na wypłukanie ust odrobiną wody, wypływam wstrętny osad i wypijam kilka łyków z butelki.

Masz minutę, powtarzam sobie. Jedną minutę na odpoczynek.

Korzystam z okazji, aby uporządkować ekwipunek, zwiżam śpiwór i byle jak upycham wszystko w plecaku. Minuta dobiegła końca. Wiem, że pora ruszać dalej, ale dym utrudnia mi myślenie. Moim kompasem były dotąd chyże zwierzęta, lecz za nimi nie nadążałam. Mam świadomość, że jeszcze nie wędrowałam po tej części lasu, dotąd nie natrafiłam na tak okazałej wielkości skały jak ta, pod którą się teraz ukrywam. Dokąd zaganiają mnie organizatorzy? Z powrotem w stronę jeziora? Na nowe tereny, pełne nowych niebezpieczeństw? Zaledwie przez kilka godzin cieszyłam się spokojem nad stawem, kiedy rozszalał się żywioł. Czy dałabym radę wędrować równoległe do czoła fali ognia i w ten sposób powrócić w okolice, z których uciekłam? A może przynajmniej udałoby mi się wrócić nad staw, do źródła wody? Pasma pożaru musi mieć gdzieś swój kres, a ogień nie może palić się w nieskończoność. Płomienie zgasną, ale nie dlatego, że organizatorzy nie potrafią ich podtrzymać. Po prostu nie wolno znudzić widzów. Gdybym przedostała się na drugą stronę linii ognia, uniknęłabym spotkania z zawodowcami. Postanawiam obejść piekło, choć wiem, że nadłożę wiele kilometrów. Długą, okrężną trasą powrócę tam, skąd uciekłam. Nagle tuż obok, w odległości pół metra od mojej głowy eksplodują na skale pierwsze dwie kule ognia. Wyskakuję z kryjówki, strach na nowo podwaja moje siły.

Rozpoczyna się nowy etap igrzysk. Pożar miał na celu tylko wykurzenie nas z ukrycia, teraz widownia może liczyć na prawdziwą uciechę. Słyszę następny syk, padam płasko na ziemię, nie patrząc, co mi grozi. Ognista kula trafia w drzewo z lewej strony, które momentalnie staje w płomieniach. Zginę, jeśli będę tkwiła w miejscu. Zrywam się na równe nogi, a trzeci pocisk eksploduje tam, gdzie przed chwilą leżałam. Tuż za moimi plecami w powietrze wylatuje słup ognia. Tra-

cę poczucie czasu, w panice usiłuję uchylać się przed atakami. Nie wiem, skąd są wystrzeliwane kule ognia, ale na pewno nie bombarduje mnie poduszkowiec. Pociski lecą pod innym kątem, ich źródło musi się znajdować na ziemi. Zapewne na całej polaci lasu zainstalowano precyzyjne wyrzutnie, ukryte w drzewach lub w skałach. Gdzieś daleko, w sterylnie czystym pomieszczeniu, przy pulpicie sterowniczym zasiada organizator, który jednym ruchem palca na przełączniku może w parę sekund odebrać mi życie. Wystarczy tylko, że wystrzeli kulę ognia prosto we mnie.

Ogólnikowe plany powrotu nad staw biorą w łeb, kiedy kluczę, nurkuję i odskakuję, aby uniknąć niebezpiecznych pocisków. Każdy z nich jest wielkości jabłka, ale pomimo niedużych rozmiarów stanowią dla mnie ogromne zagrożenie, bo przy zetknięciu z celem wybuchają z potężną energią. Wszystkie moje zmysły koncentrują się na walce o przeżycie. Nie mam czasu się zastanawiać, czy podejmuję właściwą decyzję. Gdy słyszę syk, muszę reagować, zwłoka oznacza pewną śmierć.

Przez cały czas staram się podążać naprzód. Od wczesnego dzieciństwa oglądałam transmisje Głodowych Igrzysk, stąd wiem, że określone obszary areny są przystosowane do jednego typu ataków. Jeżeli uda mi się opuścić rejon, w którym obecnie przebywam, znajdę się poza zasięgiem rażenia wyrzutni. Niewykluczone, że w rezultacie wpadnę do jamy ze źmijami, ale póki co nie zaprzęłam sobie tym głowy.

Nie mam pojęcia, jak długo uciekam przed pociskami, ale w końcu czuję, że ostrzał stopniowo traci na intensywności. To dobrze, bo ponownie dostaję torsji. Tym razem nieokreślona, kwaśna substancja wypala mi gardło i wdziera się do nosa. Muszę się zatrzymać, moje ciało skręca się w konwulsjach i gwałtownie próbuje pozbyć się toksyn wchłoniętych podczas ataku. Czekam na następny syk, sygnał, by pognać przed siebie. Jest jednak całkiem cicho. Gwałtowne torsje wy-

ciskają mi z oczu piekące łzy, ubranie przesiąkło potem. Pomimo dymu i fetoru wymiocin uderza mnie smród płonących włosów. Nieporadnie sięgam po warkocz i przekonuję się, że kula ognia spaliła go na długości co najmniej piętnastu centymetrów. Pasma zwęglonych włosów kruszą mi się w palcach. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w poczerniałe szczątki dawnej fryzury, gdy dociera do mnie znajomy syk.

Mięśnie reagują natychmiast, ale tym razem niedostatecznie szybko. Płonący pocisk łąduje na ziemi, tuż obok, lecz wcześniej ociera się o moją prawą łydkę. Spodnie się zapalają, wpadam w panikę. Obracam się i cofam na czworakach, piszczę, chcę się wydostać z koszmaru. W końcu odzyskuję jednak resztki rozumu i systematycznie szoruję nogą po ziemi, dzięki czemu udaje mi się stłumić największy ogień. Następnie gołymi rękami, bez zastanowienia zdzieram z siebie resztki tkaniny.

Siadam na ziemi, kilka metrów od słupa płomieni z kuli. Rwący ból łydki staje się nie do zniesienia, na dłoniach rosną mi czerwone bąble. Jestem zbyt roztrzęsiona, aby iść dalej. Jeżeli organizatorzy chcą mnie dobić, nie powinni zwlekać.

Słyszę głos Cinny, przywołuję w umyśle widok kosztownego materiału i migotliwych klejnotów. „Katniss, dziewczyna, która igra z ogniem”. Na wspomnienie tych słów organizatorzy muszą zrywać boki ze śmiechu. Niewykluczone, że piękne stroje Cinny podsunęły im pomysł zafundowania mi właśnie takiego rodzaju tortur. Rzecz jasna, nie mógł przewidzieć sytuacji, z pewnością przejmuję się moim losem. Jestem pewna, że mi dobrze życzy. Gdybym jednak rozważyła wszystkie okoliczności, być może bezpieczniej dla mnie byłoby pokazać się na rydwanie całkiem nago.

Bombardowanie zakończyło się definitywnie. Nie chcą mojej śmierci, w każdym razie jeszcze nie teraz. Każdy wie, że mogą nas zniszczyć w parę sekund po dźwięku gongu. Prawdziwa zabawa podczas Głodowych Igrzysk polega na ogląda-

niu, jak trybuci się mordują nawzajem. Co pewien czas organizatorzy zabijają trybuta, aby przypomnieć zawodnikom, że mogą to zrobić. Przede wszystkim jednak manipulują nami tak, byśmy starli się ze sobą jeden na jednego. Skoro nikt już do mnie nie strzela, to widomy znak, że nieopodal przebywa co najmniej jeden trybut.

Gdybym mogła, najchętniej wdrapałabym się na drzewo i zamaskowała, ale dym nadal jest tak gęsty, że można się w nim udusić. Z trudem wstaję i kuśtykam jak najdalej od burzy ognia, która tworzy na niebie jasną lunę. Płomienie chyba mnie już nie ścigają, teraz walczę wyłącznie z cuchnącymi, czarnymi chmurami.

Dostrzegam jeszcze inne światło, słoneczne, które łagodnie wylania się zza tumanów. Wirujący dym przechwytuje promienie, w takich warunkach mało co daje się zauważyć. Widoczność ogranicza się do maksimum piętnastu metrów we wszystkich kierunkach. Nie ma możliwości, żebym dostrzegła zaczajonego na mnie trybuta. Na wszelki wypadek powinnam dobyć noża, ale raczej nie udałoby mi się go zbyt długo utrzymać w dłoni. Bólu rąk nawet nie da się porównać do potwornych cierpień, które powoduje rana na łydce. Nie znoszę oparzeń, nienawidzę ich od zawsze, nawet tych najdrobniejszych, których nabawiałam się czasem podczas wyciągania chleba z pieca. Nie wyobrażam sobie okropniejszego bólu, a w dodatku jeszcze nigdy nie doznałam poparzeń tak rozległych.

Wyczerpanie sprawia, że dopiero brodząc po kostki w wodzie, orientuję się, iż weszłam do stawu. Jest zasilany przez cudownie chłodne źródło, które chlupocząc, wypływa ze skalnej rozpadliny. Zanurzam dłonie w płyćźnie i momentalnie czuję ulgę. Czy nie to zawsze powtarzała mama? Przy oparzeniach należy przede wszystkim przemyć ranę zimną wodą, tak chłodzi się rozpalone miejsce. Tyle że jej chodziło o niewielkie uszkodzenia skóry. Pewnie zaleciłaby polewanie rąk wodą. Czy jednak łydka wymaga takiego samego leczenia? Choć jesz-



cze nie miałam odwagi jej obejrzeć, domyślałam się, że skala oparzenia na nodze jest zupełnie inna.

Przez pewien czas leżę na brzuchu, na brzegu stawu, i poruszam dłońmi w wodzie. Przypatruję się płomykom na paznokciach. Rysunki stopniowo się kruszą, i dobrze. Do końca życia mam dość ognia.

Zmywam z twarzy krew i popiół. Usiłuję sobie przypomnieć wszystko, co wiem o leczeniu oparzeń. Są powszechne na obszarze Złóżyska, gdzie gotujemy na węglu i ogrzewamy nim domy. Do tego dochodzą jeszcze wypadki górnicze... Kiedyś pewna rodzina przyniosła do nas nieprzytomnego, młodego mężczyznę, błagając mamę o pomoc. Lekarz okręgowy, odpowiedzialny za leczenie górników, spisał rannego na straty i kazał rodzinie zabrać go, żeby umarł w domu. Nie pogodzili się z tą opinią. Nieprzytomny górnik leżał na stole w naszej kuchni. Rzuciłam okiem na ranę, otwartą, ze zwęglonymi mięśniami, wypaloną do kości, i natychmiast wybiegłam z domu. Poszłam do lasu i przez cały dzień polowałam, prześladowana wizją okropnej dziury w nodze oraz wspomnieniami o śmierci ojca. Co ciekawe, Prim, zwykle bojaźliwa i nieśmiała, nawet nie wyszła z kuchni, bo postanowiła pomagać mamie. Mama twierdzi, że lekarzem człowiek się rodzi, a nie zostaje. Obie robiły, co mogły, jednak stało się tak, jak przewidział doktor.

Moja łydka wymaga opatrzenia, ale nie jestem w stanie na nią spojrzeć. A jeśli wygląda równie okropnie jak noga tamtego biedaka? Co będzie, jeżeli zobaczę własną kość? W pewnej chwili przypominam sobie, co mówiła mama. Jeśli oparzenie jest naprawdę rozległe i głębokie, ofiara często w ogóle nie odczuwa bólu, bo nerwy ulegają zniszczeniu. Pokrzepiona tą myślą, prostuję się i wysuwam nogę.

Na widok łydki niemal mdleję. Jest szkarłatna, pokryta pęcherzami. Wkładam wielki wysiłek w to, żeby spokojnie i powoli oddychać, jestem niemal pewna, że obiektywy kamer są wycelowane w moją twarz. Nie mogę okazywać słabości z po-

wodu rany. Jeśli zależy mi na uzyskaniu pomocy, muszę być dzielna. Litość nie zapewni mi wsparcia. Ludzie powinni mnie podziwiać za wytrwałość i nieustępliwość. Odcinam szczątki nogawki na wysokości kolana i z bliska oglądam ranę. Fragment skóry wielkości małej dłoni uległ poparzeniu. Nie widzę żadnych śladów zwęglenia ciała, więc myślę, że zanurzenie nogi w wodzie nie zaszkodzi. Delikatnie wsuwam łydkę do stawu, obutą piętę opieram na kamieniu, aby skóra zbyt nie przesiąkła, i głęboko oddycham, bo chłód wody naprawdę nieco koi ból. Wiem, że jakieś zioła przyspieszają gojenie, ale nie mogę ich sobie przypomnieć i nawet nie wyobrażam sobie, żebym ruszyła na ich poszukiwanie. Najwyraźniej muszę się zadowolić wodą i czekać na poprawę sytuacji.

Czy powinnam iść dalej? Dym powoli ustępuje, nadal jest zbyt gęsty, żeby normalnie oddychać. Niewykluczone, że oddalając się od ognia, wpadnę prosto na uzbrojonych zawodców. Poza tym za każdym razem, gdy wyciągam nogę z wody, ból nasila się tak bardzo, że muszę ponownie ją zanurzyć. Dłonie mają się odrobinę lepiej. Od czasu do czasu jestem w stanie na krótką chwilę wyjąć je ze stawu. Powoli porządkuję wyposażenie. Na początek napełniam butelkę wodą ze źródła, dodaję jodynę, a gdy odpowiedni czas mija, ponownie zaczynam nawadniać organizm. Niedługo potem zmuszam się do zjedzenia krakersa. Skubię go powoli, dzięki czemu żołądek przestaje się dopominać o swoje prawa. Zwijam śpiwór, zasadniczo nietknięty, z wyjątkiem kilku czarnych plam. Co innego kurtka. Materiał cuchnie, jest wyraźnie nadpalony, dolna część na plecach w ogóle nie nadaje się do naprawy. Odcinam zniszczony fragment i w ten sposób zostaję z ubraniem, które ledwie zasłania mi żebra. Dobrze, że kaptur jest nietknięty. Nawet taka kurtka jest lepsza niż żadna.

Pomimo bólu zmęczenie daje o sobie znać. Najchętniej wdrapałabym się na drzewo i zdrzemnęła na gałęzi, ale każdy bez trudu by mnie zauważył. Poza tym nie wyobrażam so-

bie porzucenia stawu. Starannie pakuję ekwipunek, nawet zakładam plecak, nie jestem jednak w stanie ruszyć z miejsca. Dostrzegam wodne rośliny o jadalnych korzeniach i przyrządzam lekki posiłek z ostatnim kawałkiem królika. Sączę wodę. Patrzę, jak słońce powoli sunie po niebie. Dokąd miałabym pójść? Gdzie jest bezpieczniej niż tutaj? Kładę się na plecaku, nie mam siły dłużej walczyć z sennością.

Jeśli zawodowcy chcą mnie znaleźć, to bardzo proszę, myślę, i powoli zapadam w odrętwienie. Niech mnie znajdą...

I rzeczywiście, znajdują mnie. Mam szczęście, że jestem gotowa do drogi. Gdy słyszę odgłos kroków, mam niecałą minutę przewagi nad wrogiem. Zapada wieczór. Otwieram oczy, momentalnie się zrywam i biegnę. Rozchlapując wodę, gnam na drugi brzeg stawu, wpadam w zarośla. Noga mnie spowalnia, ale wyczuwam, że moi prześladowcy również nie są tacy prędcy jak przed pożarem. Dociera do mnie ich pokasywanie, nawołują się chrapliwie.

Mimo wszystko się zbliżają, niczym wataha zdziczałych psów, więc robię to, co zawsze w podobnych okolicznościach. Wybieram wysokie drzewo i zaczynam się na nie wspinać. O ile bieg sprawiał mi ból, o tyle wdrapywanie się po gałęziach jest koszmarną męczarnią. Wspinanie się na drzewa wymaga nie tylko wysiłku fizycznego, lecz także bezpośredniego kontaktu dłoni z korą drzewa. Nadal jednak jestem zwinna. Gdy zawodowcy podchodzą do pnia, tkwię na wysokości około siedmiu metrów nad ziemią. Przez moment stoimy i przypatrujemy się sobie badawczo. Mam nadzieję, że nie słyszają, jak łomocze mi serce.

To chyba koniec, przechodzi mi przez myśl. Czy mam jakieś szanse w starciu z tymi ludźmi? Zjawiała się cała szóstka, pięciu zawodowców i Peeta. Jedyna pociecha w tym, że również wyglądają na solidnie zmaltretowanych. Ale co z tego, skoro są tak dobrze uzbrojeni? Uśmiechają się szeroko, pogardliwie, obserwują mnie jak zwierzynę w pułapce. Sytuacja wy-

daje się beznadziejna. Nagle dociera do mnie oczywisty fakt. Wszyscy oni są ode mnie więksi i silniejsi, to jasne, ale są także ciężsi. Z tego powodu to ja, nie Gale, ośmielałam się wspinać po najwyżej rosnące owoce. To ja okradałam ptaki z jaj w trudno dostępnych gniazdach. Z pewnością ważę co najmniej o dwadzieścia pięć do trzydziestu kilogramów mniej od najszczuplejszego zawodowca.

Teraz ja się uśmiecham.

— Co tam u was? — wołam pogodnie.

Tracą rezon, a w dodatku wiem, że telewidzowie będą zachwyceni.

— Może być — odzywa się chłopak z Drugiego Dystryktu. — A u ciebie?

— Ostatnio było odrobinę za ciepło jak na mój gust — odpowiadam. Niemal słyszę śmiech mieszkańców Kapitolu. — Tu, na górze, jest bardziej przewiewnie. Może wpadniecie z wizytą?

— Chętnie — zapowiada ten sam chłopak.

— Cato, weź to — mówi dziewczyna z Jedynek i podsuwa mu srebrny łuk i kołczan ze strzałami. Mój łuk! Moje strzały! Na ich widok ogarnia mnie wściekłość, mam ochotę wrzeszczeć na siebie i na tego zdrajcę Peetę, który uniemożliwił mi zdobycie łuku. Próbuję nawiązać z Peetą kontakt wzrokowy, ale chyba celowo odwraca głowę i poleruje nóż o krawędź koszuli.

— Nie — warczy Cato i odpycha łuk. — Lepiej sobie poradzę mieczem.

Widzę broń, o której mówi. To nóż o krótkim i ciężkim ostrzu, który nosi przy pasie.

Daję Catonowi czas, by wdrapał się na wysokość paru metrów, i dopiero wtedy ruszam dalej w górę. Gale zawsze powtarzał, że kojarzę mu się z wiewiórką, bo potrafię skakać po najcieńszych witkach. Po części to zasługa mojej wagi, ale mam też dużą wprawę. Sztuka polega na tym, aby umiejętnie

stawiać stopy i chwytać gałęzie. Pokonuję jeszcze dziesięć metrów, kiedy słyszę trzask. Spoglądam w dół i widzę, jak Cato mlóci rękami, spadając wraz z gałęzią na ziemię. Mam nadzieję, że skręcił kark, kiedy z głuchym łoskotem uderza o podłogę, ale wstaje i klnie jak szewc.

Dziewczyna ze strzałami — słyszę, że ktoś na nią woła Glimmer, fuj, ci ludzie z Pierwszego Dystryktu robią pośmiewisko z własnych dzieci — postanawia wdrapać się na drzewo i pnie się tak długo, aż gałęzie zaczynają jej pękać pod nogami. Dopiero wtedy rozsądek podpowiada jej, że powinna się zatrzymać. Znajduję się na wysokości ponad dwudziestu pięciu metrów. Glimmer postanawia mnie zestrzelić, ale od razu widać, że fatalnie sobie radzi z łukiem. Jedna ze strzał przypadkiem wbija się w drzewo nieopodal i jestem w stanie po nią sięgnąć. Szyderczo wymachuję zdobyczą nad jej głową, jakbym tylko dla zabawy zadała sobie trud odzyskania strzały, ale tak naprawdę zamierzam jej użyć przy pierwszej nadarzącej się okazji. Gdybym to ja miała w rękach tę srebrną broń, wybiłabym ich co do nogi, wszystkich.

Zawodowcy zbijają się w gromadę i słyszę, jak coś mamroczą konspiracyjnym szeptem. Są wściekli, bo zrobiłam z nich idiotów. Zmierza się jednak, i ich plany ataku na mnie się dezaktualizują. W końcu słyszę szorstki głos Peety.

— Ech, lepiej ją tam zostawmy na górze. I tak nigdzie się stamtąd nie ruszy. Rozprawimy się z nią rano.

Na pewno ma rację pod jednym względem. Nigdzie się stąd nie ruszę. Znikła ulga, którą czułam dzięki wodzie ze stawu, oparzeliny rozboleły mnie z całą mocą. Szybko schodzę na rozwidlenie gałęzi i niezdarnie szykuję się do snu. Wkładam kurtkę, rozwijam śpiwór, przypinam się pasem. Przez cały czas usiłuję powstrzymać się od jęczenia. Moja noga nie jest w stanie wytrzymać ciepła, więc rozcinam materiał śpiwora i wystawiam łydkę na powietrze. Spryskuję wodą ranę oraz dłonie.

Brawura kompletnie mnie opuściła. Męczy mnie osłabienie wywołane bólem oraz głodem, lecz nie potrafię się zmusić do jedzenia. Nawet jeśli przetrwam noc, co przyniesie rano? Wpatruję się w korony drzew i usiłuję zasnąć, ale ból skutecznie mnie rozbudza. Ptaki szykują się do snu, wyśpiewują kołysanki piskłotom. Ożywiają się nocne stworzenia. Pohukuje sowa. Przez wszechobecny dym przebija się lekka woń skunksa. Z sąsiedniego drzewa spoglądają na mnie oczy nieznanego zwierzęcia, może oposa. W jego źrenicach odbija się światło ognia z pochodni zawodowców. Nagle opieram się na łokciu. To nie są oczy oposa, brak im szklistego połysku, który tak dobrze znam. Co więcej, te oczy w ogóle nie należą do zwierzęcia. W gasnącym świetle dnia rozpoznaję, kto po cichu podgląda mnie spomiędzy gałęzi.

Rue.

Od jak dawna tam tkwi? Zapewne od początku. Nieruchoma i niezauważona obserwowała rozwój wypadków w dole. Może wdrapała się na drzewo na krótko przede mną, usłyszawszy odgłosy nadciągającej watahy.

Przez moment krzyżujemy spojrzenia. Po chwili Rue bezszelestnie unosi dłoń, nie trącając przy tym nawet jednego listka, i pokazuje coś nad moją głową.